

Zaleca się kota

SHŌ ISHIDA

Z JAPONSKIEGO
PRZEŁOŻYŁ
DARIUSZ LATOŚ

MARGINESY

猫を処方いたします。
Neko Wo Shoho Itashimasu.

COPYRIGHT © 2023 BY Syou Ishida
c/o The Appleseed Agency Ltd, Japan

First published in Japan in 2023 by PHP Institute, Inc.
Polish translation rights arranged with PHP Institute, Inc. through
Emily Books Agency LTD. and Book/lab Literary Agency

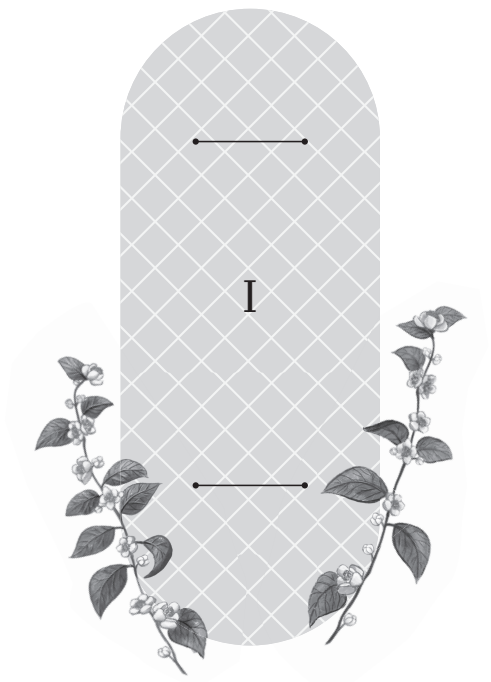
COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dariusz Latoś
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2025

SPIS
TREŚCI



I	II	III	IV	V
7	89	133	167	215





Shūta Kagawa podniósł wzrok na kilkupiętrowy budynek u końca ciemnej uliczki. Zdrowo się nabłędził, ale wreszcie dotarł do celu. Wyglądało to tak, jakby ktoś wstawił płombę w szparę między nienowymi zabudowaniami stojącymi po bokach.

– To naprawdę tutaj? – szepnął do siebie zdumiony.

Wcześniej nie mógł uwierzyć, że w dzisiejszych czasach istnieją jeszcze miejsca, których nie da się wyszukać na mapach w telefonie, ale teraz czuł się przekonany. Tu w ogóle nie docierały promienie słońca, niebo majaczyło w oddali. Uliczka była zawilgocona, a sam budynek stary i brudny.

– Co to w ogóle za adres?

Fuyachō w górę, Rokkaku na zachód, Tomikōji w dół, Takoyakushi na wschód, Nakagyō-ku, Kioto. Format charakterystyczny dla centrum Kioto: kwartały mają oficjalne nazwy, a leżące w nich budynki swoje numery, lecz zamiast nich podaje się nazwy ulic i kierunki. Drogi biegną z północy na południe i z zachodu na wschód, przecinając się pod kątem prostym, dlatego wystarczy skręcać zgodnie ze wskazaniem i dojdzie się do celu. A przynajmniej w teorii, bo w praktyce system był tak zawiły, że wszyscy poza miejscowymi błędzili

jak dzieci we mgle. On podobnie – zanim nareszcie trafił pod wskazany adres, skręcał w lewo dobre kilkanaście razy i ciągle chodził w kółko. Dopiero gdy już miał się poddać, przypadkiem zauważył wejście do wąskiego zaułka.

Czemu kiotyjczycy celowo używają takiego zagmatwanego zapisu? Dla Shūty, który przyjechał spoza prefektury, nazwy tutejszych ulic przypominały szyfr. Czuł, że nawet głupi adres pomyślano tak, by obcy trzymali się z daleka.

Westchnął ciężko w ciemnej uliczce.

„Nie, jeszcze nie pora się załamywać” – w duchu dodał sobie otuchy. Kiepska lokalizacja nie musiała oznaczać, że najemca też jest do niczego. Kto wie, czy budynki dookoła nie powstały później. Zresztą takie ukryte miejsca, znane tylko miejscowym często uchodziły za najlepsze.

Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Brak windy, w głębi widać schody. Może to przez słabe oświetlenie, może przez pustkę i ciszę – było niepokojąco. Ruszył korytarzem, wzrok sam śledził plakietki na mijanych drzwiach. Same biura, wszystkie jakieś podejrzan.

„Prędzej czy później skończy się pewnie tak, że też będę siedział w podobnej klitce i naciągał seniorów przez telefon...”

Pokręcił gwałtownie głową, żeby odpędzić tę wizję. Przyjechał tu właśnie po to, by uniknąć podobnej przyszłości. Wszedł po schodach na czwarte piętro. Na jednych drzwiach widniał napis PORADNIA KOKORO.

Stare, wyglądające na ciężkie drzwi otworzyły się zadziwiająco łatwo. Shūta zajrzał do środka. O dziwo wnętrze przychodni było jasne i przyjemne. Tuż przy wejściu okienko rejestracji. Puste.

– Przepraszam?

Cisza.

Stał przy drzwiach jak słup. Może trafił na przerwę? Nie znał numeru telefonu ani adresu mejlowego, dlatego nie miał jak umówić się na wizytę.

– Przepraszam! – zawołał w głąb korytarza przychodni, tym razem głośniej.

Pielęgniarka pojawiła się, stukając kłapkami o podłogę. Wyglądała na trochę mniej niż trzydzieści lat, miała jasną skórę.

– Tak?

– Nie mam terminu, ale gdyby była możliwość...

– Na wizytę? Proszę bardzo.

Mówiła z łagodną intonacją charakterystyczną dla kiotyjskiej odmiany dialektu Kansai*. Jak na kogoś w jej wieku różnicę było słychać wyjątkowo wyraźnie.

Shūta wszedł do maleńkiej poczekalni, w której stała jednoosobowa sofa. Pielęgniarka poprowadziła go jednak prosto do gabinetu. Było to skromne pomieszczenie, mniejsze od biurowej palarni, z biurkiem, komputerem i dwoma fotelami.

Czuł narastający niepokój. Czy to naprawdę klinika, którą mu polecono?

Wszystkie poradnie zdrowia psychicznego, do których chodził do tej pory, były przestronne i eleganckie. Nie mieściły się w starych budynkach, do których strach wejść, wręcz przeciwnie. Na wizytę należało obowiązkowo umówić się

* Region w południowo-zachodniej części wyspy Honsiu, obejmujący prefektury Wakayama, Mie, Nara, Kioto, Osaka, Hyōgo i Shiga (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

z wyprzedzeniem, a samo wypełnienie kwestionariusza przed pierwszą konsultacją zajmowało prawie godzinę. Owszem, był wdzięczny, że lekarz przyjmie go od razu, ale chwileczkę... nawet nie miał okazji pokazać karty państwowego ubezpieczenia.

Zza zasłonki wyszedł ubrany w fartuch lekarz około trzydziestki o delikatnej budowie i kobiecych rysach.

– Dzień dobry. Pierwszy raz u mnie, prawda? – Uśmiechnął się lekko. Głos miał raczej wysoki, lekko nosowy. Mówił jak typowy mieszkaniec Kioto: z poufałością, która jednak nie brzmiała przesadnie. – Mogę zapytać, z czyjego polecenia pan przychodzi?

– Jak by to... – Shūta się zawahał. Z początku chciał skłamać, ale szybko zmienił zdanie i odpowiedział zgodnie z prawdą: – Nie znam tej osoby bezpośrednio. Kolega z pracy, który już nie pracuje, wspominał... Podobno kontrahent kontrahenta kuzyna żony jego młodszego brata mówił, że to świetna klinika.

Informacja nawet nie z trzeciej, tylko z szóstej ręki, do tego mocno okrojona: Shūta dowiedział się jedynie nazwy, adresu jak szyfr oraz numeru piętra.

Miał już za sobą niejedną wizytę u psychologa i psychiatry. Na pierwszą poszedł pół roku wcześniej. Wtedy też nie spodziewał się poprawy. Po prostu czuł, że musi coś zrobić. Że powinien się postarać. Więc wyszukał w sieci kliniki z dobrymi opiniami i odwiedzał jedną po drugiej, aż zaliczył wszystkie w okolicy swojego mieszkania oraz pracy.

A potem stwierdził, że w takim razie dobre i polecenie z szóstej ręki – ale nigdy by nie przypuszczał, że miejsce będzie do tego stopnia przynębiające.

– Hmm... Widzi pan, nie przyjmuję nowych pacjentów. Przy obecnym obłożeniu i tak ledwo dajemy sobie radę, bo oprócz mnie pracuje tu tylko pani pielęgniarka – stwierdził, po czym westchnął nieśpiesznie i łagodnie.

Shūta był załamany. Znowu to samo. Niby mieli pomagać ludziom z problemami, a jak trzeba było kogoś wysłuchać, to mało który lekarz był skłonny okazać trochę serca i zrozumienia.

Już miał powiedzieć: „W takim razie dziękuję, do widzenia”, kiedy lekarz nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu. Miał spojrzenie małego psotnika.

– No ale skoro przychodzi pan z polecenia, to zrobię wyjątek.

Nagle gabinet wydał się jeszcze ciaśniejszy – a przecież i tak niemal dotykali się kolanami. Doktor odwrócił się do biurka i zaczął stukać w klawiaturę.

– Poproszę imię, nazwisko i wiek – nagle przeszedł do rzeczy.

– Shūta Kagawa, dwadzieścia pięć lat.

– Co pana dzisiaj sprowadza? – zapytał doktor łagodnie.

Shūta poczuł, że tężeje ze stresu. Tę scenę odgrywał już wiele razy. Każdy z lekarzy słuchał tyle, na ile pozwalał wyznaczony czas wizyty, po czym serwował mu byle jaką, banalną formułkę.

„Musiało być panu bardzo trudno. Nie musi się pan aż tak starać”.

„To wielkie osiągnięcie, że pan tu przyszedł. Dziękuję”.

Tak, z jakiegoś powodu niektórzy nawet mu dziękowali. A potem wszyscy przepisywali podobne leki. Jedynie tabletki nasenne trochę pomagały, lekarze wcale.

– Ja...

Bezsensowność, dzwonienie w uszach, brak apetytu.

Na myśl o pracy coś ścisnęło go w klatce piersiowej, nie mógł głęboko zaczerpnąć powietrza, nie mógł spać. Objawy podręcznikowe do bólu, trudno oczekiwać, by robiły wrażenie. Tym razem musiał je lepiej opisać, żeby wreszcie wydostać się z tej pętli.

Tylko że wymysknęło mu się, co naprawdę myślał.

– Chcę zwolnić się z pracy – szepnął.

– Rozumiem. – Lekarz zareagował natychmiast.

Shūta zaczął panikować.

– To znaczy nie, nie o to mi chodziło. Nie chcę odejść, przeciwnie, chcę wiedzieć, co zrobić, żeby utrzymać się w tej firmie. Pracuję w jednym z największych domów maklerskich, mamy nawet reklamy w telewizji. Tylko że szefostwo traktuje nas jak niewolników...

– Wszystko jasne – stwierdził najzwyczajniej w świecie lekarz, po czym uśmiechnął się szeroko. – Przepiszę panu kota. I będziemy obserwować.

Zakręcił się na fotelu i zawołał:

– Pani Chitose! Pani przyniesie kota!

Zza zasłonki rozległo się krótkie „Już!”, po czym do gabinetu weszła ta sama pielęgniarka co wcześniej. Przy rejestracji Shūta nie zwrócił uwagi, ale miała czarujące spojrzenie, a jej charakterystyczna uroda nie była może efektowna, ale śmiało można było ją nazwać bardzo atrakcyjną. Spojrzała na niego dość podejrzliwie.

– Jest doktor pewien, doktorze Nike?

– Ha, ha! Tak, bez obaw.

Ona brzmiała oschle, on za to miło i sympatycznie. Nie dość, że przychodnia była dziwaczna, to lekarz też nie nazywał się normalnie. Pielęgniarka postawiła na biurku transporter, który przyniosła, i bez słowa zniknęła za zasłonką. Zwyczajny plastikowy, z kratką z jednej strony.

W środku naprawdę krył się kot.

Shūcie opadła szczeka. Siedział oniemiały, nie potrafiąc nadążyć za tym, co się działo, i tylko patrzył na zwierzę tuż przed nim.

Najprawdziwszy kot. Szary, raczej zwyczajny, bez znaków szczególnych. W ciemnym transporterze nie było ich widać zbyt wyraźnie, ale miał duże złote oczy. Spoglądał na Shūtę ostrożnie.

- Na początek proszę go stosować przez tydzień.
- Słucham?
- Wypiszę receptę, proszę ją podać w rejestracji.
- To pan wydaje recepty?
- Ależ oczywiście.

Lekarz rozmawiał z nim zupełnie normalnie, ale sytuacja zdecydowanie do normalnych nie należała.

– To... kot? – zapytał, nie odrywając wzroku od transportera.

– Owszem – odpowiedział doktor, jakby to było oczywiste.

Rzeczywiście, kot, jakkolwiek by patrzeć – ale Shūta już niczego nie mógł być pewny.

– Prawdziwy?

– Najprawdziwszy. I bardzo skuteczny. Koty od wieków uważane są za istne panaceum. To znaczy za najlepsze lekarstwo.

Nie żeby musiał wyjaśniać.

– Oto recepta. – Lekarz podał zdezorientowanemu Shūcie małą kartkę. – W rejestracji dostanie pan wszystko, co potrzebne. Następną wizyta za tydzień. Czekam na umówionego pacjenta, więc gdyby pan mógł...

Wskazał na drzwi, jakby kazał mu się wynosić. Shūta otrząsnął się z szoku. Teraz chciało mu się śmiać.

– Ha, ha, ha! To taka forma leczenia? Felinoterapia, dobrze pamiętam?

Z początku był zdziwiony, ale to przecież nic nadzwyczajnego. Po prostu redukcja stresu i poprawa nastroju poprzez kontakt ze zwierzęciem.

Lekarz milczał. Wydawało się, że obserwuje jego reakcję.

– Takie zaskakiwanie pacjenta to też element terapii? Już rozumiem, dlaczego nie zamieszcza pan nigdzie żadnych informacji. Przyznaję, przez chwilę miałem w głowie zupełną pustkę. Recepta na kota, dobre... Naprawdę dobre.

Nachylił się do transportera. Kot szeroko otworzył oczy i nie spuszczał z niego wzroku. Shūta nie znał się na zwierzętach, ale futrzak też wyglądał na zdezorientowanego.

– Uroczy, ale chyba mnie nie lubi. – Uśmiechnął się gorzko.

– Jak to? Niech no zobaczę.

Lekarz też zajrzał do środka, aż prawie dotknęli się policzkami. Shūta się wzdrygnął, ale tamtemu ta bliskość chyba wcale nie przeszkadzała. Obserwował kota z nosem przy kratce.

– Czy ja wiem? Będzie dobrze. O, mówi nawet, że w porządku.

– Nic nie mówi. I widać, że się boi.

– Tak pan myśli? Niech no zobaczę... – Znowu przytknął nos do kratki. Shūtę zmroziło, tak był blisko. – No co, boimy się? A skąd, jakie boimy, jak nie boimy.

Lekarz wyprostował się z uśmiechem.

– Mówi, że wcale się nie boi.

– Boi czy nie, przecież żaden kot by nie chciał, żeby zajmował się nim ktoś kompletnie nieprzyzwyczajony do zwierząt. Rozumiem, terapia, no ale szkoda go.

– Proszę się nie martwić. Koty wykazują znakomitą skuteczność także u nieprzyzwyczajonych. Następny pacjent już czeka, więc jeśli mogę prosić...

Wstał z uśmiechem, wziął transporter i położył go Shūcie na kolanach.

– Ale... Sekundę...

– Zapraszam za tydzień.

Jego uśmiech nie znosił sprzeciwu. Shūta wyszedł z transporterem w ramionach, nie mając pojęcia, co się właściwie dzieje. Można powiedzieć, że lekarz przepędził go samą swoją aurą. Na sofie w poczekalni nikogo nie było. Przez moment stał zagubiony, aż zobaczył bladą dłoń machającą do niego z okienka rejestracji.

– Proszę tutaj.

– A, tak, już idę.

Zupełnie jakby przeniósł się do jakiegoś filmu. Zaczął zerkać naokoło, czy przypadkiem w przychodni nie ma zamontowanych kamer. Zdezorientowany ruszył do rejestracji. W okienku zobaczył twarz pielęgniarki.

– Poproszę receptę.

Podał kartkę, którą dostał od lekarza. Kobieta zniknęła na zapleczu.

Transporter się zachwiał. Był okropnie ciężki.

Dziwne uczucie. Nie trzymał w rękach żywego stworzenia od czasów, kiedy w podstawówce hodowali króliki. Kot siedział spokojnie, mimo że kazano mu brać udział w takiej farsie. „Jaki dzielny” – pomyślał Shūta, a usta same wykrzywiły mu się w uśmiechu.

Wróciła pielęgniarka.

– Proszę. – Podała mu papierową torbę.

Wyraźnie czuł, że nie może odmówić, więc przełożył transporter do jednej ręki. Kot ześlizgnął się do ścianki.

– Oj, wybaczone. Przepraszam, co to jest? Bardzo ciężkie...

– Zaopatrzenie. Instrukcja jest w środku, proszę dokładnie przeczytać – stwierdziła sucho. Jej kiotyjski dialekt, wcześniej tak czarujący, teraz brzmiał lodowato.

Shūta zajrzał do torby. Z wierzchu leżały plastikowe tacki i miski, do tego saszetki, pewnie z karmą. Czyli dostał niezbędny opiekę nad kotem. Naprawdę dopracowana ta komedia. Tak bardzo, że to aż niepokojące.

– Państwo dalej swoje? To już chyba lekka przesada.

– Jeśli coś będzie niejasne, proszę pytać doktora. Do widzenia – powiedziała tonem znudzonej służbistki, po czym od razu spuściła wzrok, zajęta czym innym.

– Ale...

– Życzę zdrowia.

– Bo ja...

– Do widzenia.

Zrozumiał, że nic nie wskóra. Wyszedł na zewnątrz, a że obie ręce miał zajęte, z samym otwarciem drzwi nieźle się namęczył.

„Co to wszystko ma znaczyć?” – myślał, nadal w szoku.

Z drugiego końca korytarza nadszedł niezbyt sympatycznie wyglądający mężczyzna. Minął go i otworzył drzwi do lokalu obok przychodni. Wtedy Shūta poczuł na sobie spojrzenie. Nieznajomy patrzył z podejrzliwą miną. Jakby zaraz miał o coś zapytać.

Shūta oddalił się czym prędzej. Nie było łatwo schodzić po schodach, tak by nie przechylać transportera. Po wyjściu z budynku uderzył go zatęchły zapach uliczki. Realny do bólu – tak samo jak bagaże, które ciążyły mu w rękach.

„To świetna klinika” – tak mówił jego kolega z pracy. Jemu powiedział młodszy brat, bratu żona, żonie kuzyn... Jak w głuchym telefonie: każda osoba przekazuje trochę co innego. Shūta zrobił krok, potem drugi i trzeci, ale przedstawienie wcale się nie kończyło. Nie biegła za nim tamta ponętna pielęgniarka, znikąd nie wołano „Cięcie!” jak na planie serialu.

Terapia szokowa czy zwykłe oszustwo? Jedno było pewne: miał teraz kota.

Gdzieś w głębi serca, tam, gdzie nie sięgnęła choroba, śmiał się w głos. Nie do wiary, w jakie dziwaczne miejsce los go zaprowadził.

